Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 29 (533). *WARSZAWA, 20 lipca 1929 r.* *ROK XXII.*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112, ¼ — 56, ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168, ¼ — 84, ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej.

Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

ODNOWIENIE PRENUMERATY.

Do Nr. 25—26 „Łowca Polskiego" załączyliśmy przekazy P. K. O. 80-82 dla P. P. Prenumeratorów półrocznych i kwartalnych, uprzejmie prosząc o jaknajrychlejsze nadesłanie prenumeraty.

Przypominamy przeto, że będziemy musieli wstrzymać wysyłkę pisma tym, którzy nie zapłacą w najbliższych dniach.

ADMINISTRACJA.

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO", dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, zwyczajem dorocznym, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadesłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścic w zamkniętej kopercie zaopatrzonej w to samo godło, co i nadesłane fotografje.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I wyznaczamy zł. 100, drugą — zł. 75, trzecią — zł. 50 czwartą i piątą po zł. 25.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 1 października. Nagrodzone fotografje zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim"; pozostałe zaś — zależnie od uznania Redakcji.

„Jury" stanowi Komitet Redakcyjny.

Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie dobrej reprodukcji — jest dobra, ostra fotografja na papierze bromosrebrnym; kolor jej nie może być bronzowy (sepjowy).

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Poskromicielka lwów.

— Tak, panie kapitanie; miałam już kilka specjalności: tańczyłam na drucie, poskramiałam lwy...

— W którym pułku?

Pies z wystawy.

— Panie, odwołaj pan to swoje obrzydliwe psisko.

— Obrzydliwe psisko!... proszę, a czy pan dostałeś dwa złote medale na wystawie, jak ten pies?

Czesław Odrowąż-Pieniążek — W CESARSTWIE MENELIKA.

O godz. 7-ej wieczorem zamiera zupełnie ruch na mieście z urzędu, i tylko nieliczni europejczycy ryzykują własne życie i połamanie nóg na ciemnych i nieoświetlonych zaułkach i wertepach. Abisyńczycy, o ile nie chcą przespać się w areszcie, nie pokazują się bez specjalnych glejtów w nocy na ulicy. Środki te bezpieczeństwa stosowane są przez władze dla uniknięcia niemiłych niespodzianek zamachu stanu oraz rozbojów spowodowanych częstemi, niespodziewanemi wizytami kacyków niesfornych szczepów.



Ze zbioru trofeów z wyprawy.

Cała ochrona porządku jest w rękach tak zwanej wiernej armji rządowej, składającej się z obdartusów w „khaki" na bosaka, uzbrojonych w nieodzowny karabin lub sztucer, a jednocześnie obładowanych amunicją wszelakich, istniejących kalibrów. Często gęsto obdartus taki paraduje również z półtorametrową szablą abisyńską przy boku, sterczącą z tyłu, jak ogon koguta. Wszelakie, wojskowe lub też cywilne nakrycie głowy, znane na świecie, z wyjątkiem rogatywki, ma dodawać powagi i autorytetu tej groźnej władzy.

Kolonja eurpejska, po za korpusem dyplomatycznym, bardzo miłym i gościnnym, jest kolekcją muzealną najrozmaiszych aferzystów i wykolejeńców, jakich specjalnie spotyka się w kolonjach francuskich. Przeważają w niej ormianie, grecy, niemcy, i arystokracja tego całego towarzystwa, rosjanie, emigranci; ci bez wyjątku są albo „hrabiami" albo też „pułkownikami". Ostatnio proszono w Addisie jednego nowego adepta tego wyborowego towarzystwa, aby się podał dla rozmaitości za admirała.

Europejczyk, chcący poflirtować w stolicy, napotyka na wielkie trudności, gdyż abisynki są postrzyżone i ubrane prawie tak, jak i mężczyźni; na dobitek, by się zabezpieczyć od tradycyjnych, narodowych pasożytów afrykańskich, używają wyborowego kosmetyku — masła, którego z oszczędności i wodowstrętu nigdy nie zmywają. Odbija się to w niezmiernie ciekawy sposób na włosach, które przybierają kolor od białego aż do zielonego włącznie, zależnie od terminu, kiedy w miejscowym salonie de Beaute był robiony ostatni zabieg kosmetyczny. Każda piękność abisyńska, stojąca przez kilka chwil na słońcu, jest narażona na zniszczenie pachnącej fryzury i pozostawienie po sobie tłustej plamy; by tego uniknąć, abisynka z jakiegokolwiek środowiska stale nosi słomiany parasol. Zalecenia godne jest zbliżanie się do nadobnych dziewcząt — tylko z wiatrem, broń Boże, nie pod wiatr!

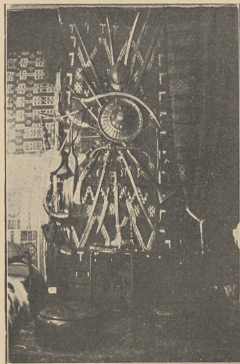
Panowie abisyńczycy nie widzą zupełnie dowcipu w niewinnym flircie europejczyka, pragnącego poznać tamtejszą płeć piękną. — W sposób bardzo radykalny reagują na takie dowody zachwytów nie na miejscu, i unieszkodliwiają raz na zawsze biednego idealistę, zdobywając równocześnie dla siebie bardzo cenne trofea, któremi się szczycą. Te cenne amulety mają być dowodem odwagi osobistej, a są w oczach pięknej płci tamtejszej ogromnym atutem dla starającego się o względy, abisyńczyka. Podobne operacje barbarzyńskie stosują abisyńczycy bardzo często również i w stosunku do swych współbraci, pochodzących z innych szczepów, o ile spotkają obcego na terenie zamieszkiwanym przez siebie i panują nad nim siłą i bronią.

Cywilizacja zakorzeniła się tu w sposób rozmaity. Alkohol cieszy się największem uznaniem i popytem, telefony funkcjonują bez liczników, lecz na jedno połączenie podmiejskie jest się zmuszony hallować w słuchawkę od 2 — 3 dni bez przystanku, w dzień i w nocy. Kolej łączy stolicę z resztą świata przez Dżibuti tylko dwa razy w tygodniu.

8-go stycznia otrzymałem zaproszenie do rezydencji regenta na bal i przyjęcie kolonji europejskiej.

Wielka gala! — Fraki i wszelka możliwa garderoba europejska, zależnie od stanu. — Pstrokacizna nadzwyczajna!

Poseł wielkiego mocarstwa w gali, — w cercle'u towarzyskim z abisyńskim kacykiem w stroju narodowym, prawie że na bosaka, oraz jakiś handeles makagigi, ormianin, w marynarce sportowej, o czysto sarmackim wyglądzie z Nalewek, — konferują z wielkiem przejęciem.



Kolekcja broni abisyńskiej.



Targ w Addis - Abebie.

Ruch i ożywienie w tem towarzystwie robili „arystokraci" rosyjscy, którzy wziąwszy na samym początku przyjęcia szturmem bufet, mając już dobrze w czubie, akcentowali na każdym kroku szeroką, słowiańską naturę! — Orkiestra nadworna, wzmocniona gramofonem, rżnęła od ucha każdy sobie, a splątane w tanecznych drgawkach pary z trudem odrywały podeszwy od lepkiej z gorąca, a za bardzo wywoskowanej posadzki.

Godnie i poważnie siedział regent, otoczony gronem siwowłosych notablów abisyńskich i ministrów, pobłaźliwie patrząc na rozbawionych zdobywców Czarnego Lądu, wspominając zapewne czasy Wielkiego Menelika, kiedy miano tu jeszcze iluzje o wyższości rasy białych najeźdźców.

Po kilku godzinach, mało kto mógł stać na własnych nogach, a sala balowa rezydencji cesarskiej wyglądała jak spelunka portowa podczas maskarady w karnawale.

W kilka dni po tem przyjęciu, otrzymałem zawiadomienie o naznaczonej mi oficjalnie audjencji u regenta Abisynji, Jego Cesarskiej Mości Ras Tafari — Makonena. Zostałem przyjęty w pałacu Menelika na Gibi. Szef protokółu dyplomatycznego, delegat do Ligi Narodów, J. E. Ato Sway, przedstawił mię oficjalnie regentowi, który, wstawszy ze swego tronu, przywitał mnie i wskazał mi obok stojący fotel. Z zachowaniem bardzo ciekawego, wschodniego ceremonjału, wysoki ten urzędnik, a mój tłumacz, wyjaśniał regentowi cel mojej podróży myśliwskiej do jego państwa. J. C. Mość wypytywał mnie o wrażenia, jakie odniosłem podczas kilkodniowego pobytu w Addisie, zapytywał o nieznaną mu Polskę i polecił mi, żebym w razie potrzeby lub też jakich trudności zwracał się do niego. Cała rozmowa była prowadzona po francusku, wprost z regentem, który nieźle włada tym językiem; czasami tylko szef protokółu, stojąc cały czas zgięty w pałąk, zakrywając sobie usta dłonią, by nie skazić swoim oddechem J. C. Mości, tłumaczył w języku Amara niektóre ustępy.

Spotkał mnie wielki zaszczyt, gdyż, jak się później dowiedziałem, regent na audjencjach zwykle przyjmował kilka osób naraz, nie rozmowiał nigdy wprost, tylko zawsze przez tłumacza, i zwykle nie prosił siadać nikogo.

Audjencja ta wywołała wielkie poruszenie i oburzenie w kolonji niemieckiej, gdyż oficjalna, misjonarska i naukowa ekspedycja niemiecka, bawiąca w Addisie od kilku miesięcy, oczekiwała jeszcze audjencji i otrzymała ją dopiero w kilka dni po mojej.

Czas wolny od żmudnej organizacji przygotowawczej mojej wyprawy spędzałem w nadzwyczaj miły sposób w gościnnych poselstwach: u ministra włoskiego, świetnego gracza w polo, ekscelencji Juljana Cory, i jego przemiłej żony, z domu hr. Colly; w poselstwie francuskiem, u zastępującego nieobecnego posła, markiza de Scey de Monteliard; w poselstwie angielskiem u sir R. Cavendish-Benting'a oraz w poselstwie niemieckiem u j. e. pana Prüfera. Grałem bardzo dużo w polo w klubie dyplomatycznym, gdzie mi pan minister Cora, sam zapalony gracz, użyczał swoich przepysznych polo-pony. Z wielką biedą kompletowaliśmy sobie drużynę, w której grali też, na czele z ministrem angielskim, jego sipaje indyjscy i jeden abisyńczyk, jeżdżący boso, ale grający doskonale w polo.

Przez pierwsze kilka tygodni czułem się jak ryba wyjęta z wody, gdyż rozrzedzone powietrze na tej wysokości (2700 m.) szczególnie podczas 7-mio minutowego „chekera" w polo, utrudniało mi, mimo że jestem alpinistą, normalne oddychanie. Oprócz tego, w początkach, wyczerpywały mnie zupełnie zmiany dzienne temperatury, która w dzień dochodziła do 40° R. a po zachodzie słońca spadała do 10° R.

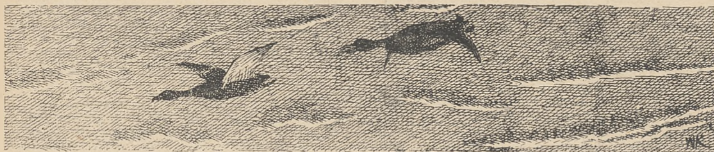
Jedyny możliwy hotel „Imperjal", z bardzo sympatycznym i uczynnym dyrektorem, panem Mendracosem, ale z niemożliwą kuchnią grecką, był ciemną plamą na tej słonecznej stolicy.

Pobyt mój w Addisie przedłużał się, wydawało mi się, w nieskończoność. Broń myśliwska, zatrzymana w porcie, miała nadejść z Dżibuti w ciągu dwóch tygodni, nadeszła zaś po miesiącu. Pozatem w głębi kraju wybuchły zamieszki i bunty plemion. Gubernator — kacyk „Szum", prowincji Sidamo, na czele 20.000 armji, szedł na Addisę, by zwalić regenta przy pomocy innych zbuntowanych kacyków, którzy również mieli podążyć tutaj, jako do punktu zbornego. Rząd abisyński, obawiając się w konsekwencji odpowiedzialności za głowy europejczyków, wzbronił wyjazdu gdziekolwiek w głąb kraju. Do tego wszystkiego wybuchła epidemja dżumy w Adenie, i jedyne okno na świat, Dżibuti, było zamknięte kwarantanną.

Te miłe i pocieszające wiadomości, które zewsząd napływały, do których jeszcze doszły słuchy o wymordowaniu dużej ekspedycji naukowej niemieckiej, na południu Abisynji, dokąd się właśnie wybierałem, zmusiły mnie do oficjalnej zmiany kierunku mojej wyprawy. Faktycznie nie odstąpiłem od zamiaru udania się na południe, mimo mało obiecujących prognostyków i formalnego sprzeciwu władz Abisynji. W tych warunkach zastosowałem tylko praktyczne przysłowie: „Nie kijem go, to go pałką", i oficjalnie zażądałem pozwolenia na udanie się w okolice na zachód, w stronę niziny Nilu i Sudanu, gdzie było zupełnie spokojnie. Otrzymałem glejt żelazny, list opatrzony wielką pieczęcią Salomona, którego zresztą nie miałem sposobności okazać nikomu.

(C. d. n.).





RĘCE OPADAJĄ!

Zdawałoby się — w dniach otwarcia Wystawy Łowieckiej, w dniach entuzjazmu i radosnych okrzyków na cześć pracy, przyszłości, Ojczyzny, myślistwa, że jesteśmy na najlepszej drodze ku zjednoczeniu celowych wysiłków; że osiągnęliśmy nareszcie wspólną wszystkim podstawę porozumienia, na której opierając się, będzie można nadal z największą korzyścią pracować.

Pozory mylą. Rozczarowanie przyszło prędzej, niżby się tego można było spodziewać. Jest bolesne i przykre. Doświadczenia pierwszych dni „Zielonego Tygodnia" urządzonego z okazji P. W. K. i Wystawy Łowieckiej, przez Wielkopolski Związek Myśliwych, uczą, że niestety, mylić muszą się ci wszyscy, którzyby się jakich poważniejszych rezultatów z pracy ogółu myśliwych Polski spodziewali.

Z okazji „Zielonego Tygodnia", jako jego zapoczatkowanie, miał się w Poznaniu odbyć zjazd powszechny łowieckich delegatów powiatowych. Kto patrzał na pracę przygotowawczą zarządu Wielkopolskiego Związku Myśliwych, pracę nad zorganizowaniem tej, na wielką i poważną skalę zakrojonej imprezy, ten mógł być przekonany, że wyniki tych wszystkich starań i zabiegów będą w skutkach jaknajbardziej owocne. Stało się inaczej. Na wysłanych 450 zaproszeń, zebranie zaszczyciło swoją obecnością zaledwie 19 delegatów. Nadeszło 10 odpowiedzi usprawiedliwiających niemożność przybycia. A reszta? A przeszło 400 innych?

Nie poczuwali się widocznie do obowiązku zareagowania na zaproszenie. Nie poczuwali się do konieczności wzięcia udziału w zjeździe. Śpią. Czy może nie rozumieją, czego się od nich wymaga, czego oczekuje. Że widzac taki stan rzeczy i ci nawet, dla których dotąd nie było przeszkód, którzy z najwiekszem oddaniem pracowali — dają się ogarnąć zniechęceniu i pytają, czy to wogóle czas poświęcać warto, — niech nikogo nie dziwi.

Za tytuł niniejszego artykułu wziąłem słowa prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych, p. połk. rez. Chłapowskiego, niestrudzonego organizatora i pracownika na polu łowiectwa, który niemi właśnie zaczął przemówienie otwierające zjazd delegatów. Tak, ręce opadają, kiedy się na każdym kroku napotyka bezprzykładną bierność, zupełną apatję ze strony tych wszystkich, po których spodziewać należałoby się najwiecej. Jedno przecież jest jasne i niewątpliwe: wysiłek jednostek, choćby i był najbardziej wielki, niczem jest, jeśli się do niego nie przyłączy i z nim nie zespoli praca całego społeczeństwa myśliwskiego Polski. Każdy dzień spóźniony, każda okazja, którą się marnuje, to pozycja stracona w tej nieustannej, a tak trudnej walce o prawa łowiectwa, o jego rozwój, bogactwo, świetność.

W samą porę przyszedł artykuł „Refleksje", Maurycego hr. Potockiego w „Łowcu Polskim". Tak, my, myśliwi polscy, zbyt mało pamiętamy o tym świętym długu zaciąganym wobec kniei polskiej; my, którym z jej darów wolno czerpać jeszcze pełną rozkosz, którzy sycimy się jej swobodą i wspaniałością. Jeżeli teraz sami nie będziemy się umieli zdobyć na nieustannie czujną opiekę, na zgodę i solidarny front wobec przeciwników, z jakimi łowiectwo nasze walczy, — nie należy się łudzić, aby mogła się w Polsce rozkrzewić kultura łowiecka, abyśmy znaleźli dla jej sprawy uznanie i poparcie u społeczeństwa i wśród ludzi Rządu. Będą mieli prawo ci, którzy po nas przyjdą, dziękować nam za stracenie i zaprzepaszczenie wartości, jakiemi życie nasze łowieckie niegdyś słynęło i jakich zadatki, przekazane nam we krwi, dotrwały do dni dzisiejszych, a tylko potrzebują warunków, aby się rozwinąć i od nowa świetnym blaskiem promieniować.

Mówię o wrodzonem i bliskiem każdemu z nas zamiłowaniu do przyrody, o wielkiej, rycerskiej tradycji życia łowieckiego Ojców naszych, a dalej o bogactwie i pięknie naszych łowisk, różnolitości naszych zwierzostanów, słowem o tych wszystkich dobrach, dzięki którym tak łatwo u nas wychować człowieka na myśliwego w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Warunki mamy jeszcze, — jeno za mało jest takich, którzyby prace i serce poświęcić chcieli sprawie, którzyby się około krzewienia i pomnażania jej dóbr krzątali, którzyby w końcu choćby drobnym wysiłkiem poprzeć chcieli poczynania niewielu ofiarnych jednostek.

Mam wrażenie, że tych kilka słów rzuconych na marginesie smutnego objawu, jakim pozostanie poznański zjazd delegatów powiatowych, wystarczyć powinno dla poruszenia umysłów i sumień tych, którzy sie stali sprawcami wymienionej już kompromitacji. Bo nie watpię, że zgodnie potwierdzić muszą jej fakt. Próba sił, solidarności, zrozumienia doniosłej wagi swego w łowiectwie stanowiska — wypadła jaknajfatalniej. Podajemy poniżej kilka nazwisk tych panów, którzy mimo niewątpliwych trudności, z dalekich stron stawili sie pierwszego dnia na wezwanie Wielkopolskiego Związku Myśliwych. Sa to pp. January Starzyński, (pow. Mławski i Chełmski), Tukałło (pow. Nowogrodzki), dr. Michał Moysa-Rosochacki (pow. Śniatyń), dr. Henryk Malsburg (pow. Gródek Jagielloński), dr. Łukowicz (pow. Choinicki). Nazwiska ich niech będą zaszczytnym przykładem i pobudka dla tych, którzy, niestety, jakoby inaczej pojmowali obowiązek związany z rolą delegata powiatowego.

I jakże tu nie porównywać? Ci, którzy myśliwym wielkopolskim zarzucają, że są oni wszyscy pod su-

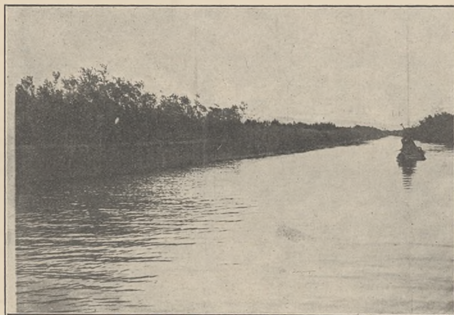
gestją kultury łowieckiej niemców, niech przejrzą cyfry, niech porównają statystyki. Na takim, zdawałoby się, błahym szczególe, jak „Zielony Tydzień", którego pożyteczny pomysł przejęty jest od naszych sąsiadów zachodnich, przekonaćby się mogli, jak bardzo nam jeszcze daleko do onej „powszechności" idei łowiectwa w porównaniu z Niemcami. Nie jest to dla nas poniżające, — mieliśmy inne sprawy i inne potrzeby na pierwszem miejscu, zanim o potrzebach łowiectwa można było pomyśleć. Lecz czyż teraz nie brać nam przykładu, skoro ten przykład jest bliski i dobry? Jakże nie porównywać, jeśli mamy pod okiem niemca, który wiele mniej dyskutuje i gada, ale który w każdym dziale czyni konkretne postępy. Wystarczy przejrzeć literaturę fachową, wystarczy wziąć do ręki pierwsze z rzędu pismo łowieckie. Uczmy się!

Doświadczenie z „Zielonym Tygodniem" nie jest pierwsze. Bywają w naszej pracy łowieckiej podobne, niemal że chroniczne. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że właśnie chroniczność takiego stanu rzeczy stanowić może o jego niebezpiecznych konsekwencjach. Póki czas jeszcze, niechaj fakty same za siebie mówiące, będą przestrogą. Niechaj poruszą sumienia myśliwych, których, oby nie było trzeba piętnować jako „niewypłacalnych dłużników Polskiej Kniei".

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.

Z JEZIOR POLESKICH.

Ciężko nam było tego roku doczekać się początku sezonu kaczego. Bruk warszawski palił nam stopy nieznośnie, a wzrok coraz częściej zaglądał do kalendarza, czy aby termin wyjazdu już nie nadszedł. Wyprawę swą postanowiliśmy skierować nad Prypeć, w okolice Załuchowa i Wulki; sądząc bowiem z nadchodzących meldunków, stan wód był wszędzie tak opłakany, że tylko na wielkich zbiornikach wodnych można było szczęścia próbować, tamtejsze zaś tereny znane nam już z lat ubiegłych, obfitujące w jeziora i przepastne moczary, pozwalały śmiałe rokować nadzieje.



Na kanale bielsko-wuleckim. Fot. A. Longchamps.

Z uczuciem dużej ulgi znaleźliśmy się nareszcie w wagonie pociągu Warszawa — Kowel. Miły towarzysz, wypróbowana broń i parę setek ładunków, oto skarby, jakie wiozłem z sobą, a ponadto taką wielką, wielką radość w sercu, że na szereg dni skryję się przed zabójczem tchnieniem miasta i widokiem biurka, — że żadna depesza służbowa mnie nie dosięgnie, gdyż będziemy tkwili po pas w wodzie i wszystko wokół nas wodą będzie, na której nietylko samolot inspekcyjny, ale sam anioł nie wyląduje. I będzie ponad nami tylko niebo, takie inne niebo, to dobre niebo naszych praojców, kiedy jeszcze z kuszą i łukiem chadzali. I tak, jak ongiś im, porywać się nam będą z ryżych błotek krzykliwe bekasy umykające, rzekłbyś, same przed sobą, i kaczek ostre stadka podkreślą śmigłym lotem czarne arabeski tam ponad nami, a pod wieczór, gdzieś u zenitu, zachrypi gardłowo czapla, śląc wieczorne pożegnanie życiodajnemu jezioru. To samo, wolne, żadnym kominem, czy kamienicą, żadnym tumanem benzyny niespętane słońce ściągnie nas z praposłania na sianie i wywabi na wody i moczary; hej, cuda to są, o jakich tylu ludzi pojęcia nie ma!

W Kowlu mieliśmy przesiąść się do pociągu Kamień-Koszyrskiego.

Tu też oczy normalnie śpiącego człowieka otwierają się zwyczajnie po raz pierwszy od chwili wyjazdu z Warszawy, i pierwszym przedmiotem, na jaki z po za szyb wagonu padają, są... postoły. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, czem są postoły? Chyba nie, a szkoda; postoły to herold Polesia pierwszy z pierwszych, genjalny, dumny ze swego prymitywu, świadomy swej niezniszczalności w pochodzie wieków; to tworzywo psychiki poleszuka, to drugie jego ja. Tak! Czy widzieliście kiedy postół porzucony na łące, racicą nieostrożnej krowy wbity jednym końcem w błoto, taki samotny, rozdeptany, od Boga i ludzi opuszczony? Jeżeli ujrzycie coś takiego, to przystańcie i wpatrzcie się, i starajcie się pojąć; pojąwszy, zrozumieliście istotę Polesia. Mówią ludzie, prawdy

świadomi, że małe poleszuki rodzą się w postołach; nie wiem, nie widziałem nigdy tej uroczystości, i prawdę powiedziawszy, nie bardzo do tego widoku tęsknię, ale uważam to za rzecz conajmniej prawdopodobną; czyż u nas nie rodzą się czasem w czepkach?

W Kamieniu-Koszyrskim musieliśmy zmienić środek lokomocji i przenieść się ze swemi manatkami na wózek Feiwla-bałaguły, naszego dawnego znajomego. Naiwni są ci, którzy twierdzą, że stosunki w województwie zna wojewoda, a w powiecie starosta. Może tak zresztą i jest gdzie, ale nie na Wołyniu. Tam ponad wojewodą i starostą góruje Feiwel. Głowa jego, to księga rejestrująca w sposób niezniszczalny wszystkie przejawy życia społecznego, gospodarczego, politycznego i towarzyskiego. Bez uciekania się do aktów i doradców, wie on o każdej sztuce sprzedanego, gdzieś, hen, drzewa, o każdym wekslu ziemianina, o każdej flaszce wódki wypitej przez chłopa, wie o każdem zebraniu politycznem, nawet takiem, o którem wojewoda nigdy się nie dowie; wie o wszystkiem; co tu gadać. On rozwiązał problem naukowej organizacji pracy bez uciekania się do Fayolla, na długo przedtem, zanim nafaszerowały się nim do przesady głowy niektórych współczesnych, a racjonalną ekonomją pracy w myśl zasady — przy najmniejszym nakładzie sił, największy wynik — doprowadził do doskonałości. Wózek jest mu gabinetem pracy, salą konferencyjną, odbiorczą stacją depesz, świątynią dumań i kolebką najprzedniejszych inwencyj handlowych, bat widomą podporą autorytetu, a dłubanie palcem w nosie lekką, niewinną i do szybszego myślenia przyjemnie ekscytującą rozrywką.

Tym to Feiwelem dotarliśmy po pięciogodzinnej jeździe, w czasie której zdążyliśmy się dowiedzieć o wszystkich nowinkach, do Szczytynia. Mieliśmy tam przenocować i rankiem łodziami popłynąć do Załuchowa, naszej bazy operacyjnej. Przenocować tośmy przenocowali, ale z tem popłynięciem łodziami było gorzej. Okazało się, że całe łożysko Turji, spławnego zazwyczaj dopływu Prypeci, zawalone było spławami, które z powodu niskiego stanu wody ugrzęzły na mieliznach i brzegach, i bodaj do tej pory tam tkwią. Wiadomość ta była dla nas podwójnie niemiła; raz dlatego, że musieliśmy zrezygnować z wygodnej lokomocji, a drugi raz dlatego, że tak niski stan na Turji musiał się odbić i na Prypeci oraz kanale bielsko-wuleckim, a co zatem idzie na moczarach załuchowskich, po których spodziewaliśmy się wielu rozkoszy.

W Załuchowie oczekiwano nas niemal że z bramą tryumfalną. Zagadką było dla nas nielada, skąd ludzie ci zdążyli się dowiedzieć o naszym przyjeździe i o tem, kim jesteśmy. Fakt jest, że u Feiwela zamiatano właśnie dla nas stodołę, a przy płocie stało rzędem kilku petentów. Załatwiwszy ich z należytą godnością, zaczęliśmy się powoli rozglądać po naszem mieszkaniu; okazało się, że pobyt nasz tegoroczny miał być szczególnie uczczony, gdyż dano nam ławkę z oparciem, stół i cały asortyment krzeseł najprzeróżniejszych fasonów. Niemniej dostaliśmy do naszego wyłącznego użytku miednicę, tylko troszeczkę dziurawą, nietyle jednak, aby się nie można było umyć, zanim wszystka woda nie wyciekła.

Rozgościwszy się, zamówiliśmy wioślarzy na „pleso". Załuchów jest nieomal półwyspem oblanym z północnej strony jeziorem Świętem, ze wschodniej — kanałem bielsko-wuleckim, a południowej — rozległym moczarem, środkiem którego ciągnie się smuga czystej wody, dotykająca jednym końcem brzegu, a drugim ginąca w moczarze. W latach normalnych niema mowy o brodzeniu po moczarze, wyjąwszy części położone bliżej brzegu; na smugę dostawało się tylko od tej strony, gdzie dotykała ona brzegu; tam też właśnie zamówiliśmy łodzie. Pleso, będące znakomitem żerowiskiem, moczar zaś spokojnem miejscem lęgowem, roiły się zazwyczaj od kaczego ludku, i czy brzegiem idąc, czy płynąc po plesie, strzelało się nieustannie. Gdy więc nam teraz we wsi powiedziano, że „kaczki je", poprawiliśmy sobie trochę humory. Jednak było gdzieś w górze widocznie powiedziane, że w pocie czoła polować tego roku będziemy, gdyż kiedyśmy wstąpili w moczar, okazało się, że niema w nim kropli wody. Ponieważ tylko jedna łódź się stawiła, zatem dwóch z nas pieszo puściło się przez trawy. Rozpacz brała, gdyśmy przez nieprzebyte zeszłego roku, miejsca, przechodzili suchą nogą. O kaczkach nie mogło tu być dużo mowy; zaledwie kilka stadek porwało się nam ze smugi i coś sześć, czy siedm przypadło nam w udziale w nagrodę za dobre a trudne strzały. Kaczki bowiem, gościną tu tylko widocznie bawiąc, brały, jak aeroplany, wysoki lot z miejsca trzecią szybkością. Tu miałem spotkanie, które utwierdziło mię raz jeszcze w przekonaniu, że za każdą, prawidłowo strzeloną kaczką, trzeba póty śledzić, póki się jej z oczu



Miły dublecik.
Fot. A. Longchamps.

nie straci. Strzeliłem do wysoko ciągnącej cyranki; poszła bez śladu zaznaczenia, tym samym lotem, na tej samej wysokości. Pewny strzału, obserwuję ją jednak i widzę, jak w odległości jakich pięciuset kroków, zatoczywszy najnormalniejszy łuk, zapada na smugę. Niktby nie przypuścił, że kaczce tej cośkolwiek brakuje. Tracąc już powoli ufność w swój strzał, idę jednak za nią, w nadziei, że porwie się przecież i że tak ją dostanę. Poszedłszy do miejsca zapadu, widzę, jak moja cyranka leży brzuszkiem do góry, bez ruchu na wodzie. Strzelona była w szyję i pierś.

Pleso zawiodło zatem zupełnie. Pozostała nam tylko nadzieja na jeziora. Tam, u licha, wody chyba nie wyschły.

Nieściśle się wyrażam, mówiąc „jeziora", gdyż właściwie chodzi tu o jedno tylko, wuleckie, ale ponieważ stanowi ono środkowe ogniwo łańcucha jezior, leżących bardzo blisko siebie pomiędzy Prypecią a kanałem królewskim i połączonych jednym i tym samym kanałem bielsko-wuleckim, zatem określenie w liczbie mnogiej utarło się.

Rankiem wczesnym nazajutrz trzy łodzie ruszyły kanałem ostro w stronę jeziora Świętego. Sama jazda kanałem nie daje myśliwemu żadnej emocji, gdyż wśród wysokich, ocembrowanych brzegów nie trzyma się zwierzyna. Rybak za to ma tu wdzięczne pole do działania z wędką lub drogą; szczupaków i jazi pełno. Wioślarze nasi w ciągu pół godziny nałowili coś ze sześć dużych szczupaków.

Po niedługim czasie wyłonił się za zakrętem znak jeziora, duża, kolista tarcza biało-czerwona, umieszczona na dwóch wysokich słupach. Lubię ten znak. Jak poważny strażnik, strzeże on wejścia do chłodnej krainy tętniącej jakiemś innem, głębinowem życiem, które wre bez przerwy, nie zna spoczynku snu, a na ustach położoną ma pieczęć wiecznego milczenia. Zmienna to kraina, jak kameleon; raz w słońcu pogodna, gościnna, zapraszająca, a taka niewinna i uległa, że całą twą ufność pozyska i odda ci władzę nad sobą. To znów groźna i mściwie zawzięta wśród burzy, wyolbrzymieje w oczach, każdy wysiłek unicestwi, zadrwi z łodzi i śmiercionośnej broni, i wykaże ci, żeś drobinka, ot taki mały korek, któremu każda fala ma prawo w twarz pianą prysnąć i wyhuśtać duszę na ramię. A nocą spokojną, bezwietrzną powie ci, żeś w świecie niedostępnych żywemu tajemnic, takich właśnie, jakiemi w dzieciństwie cię karmiono, że tam, pod tą srebrną taflą i zamki i kościoły zaczarowane, pełne pięknych pań i rycerzy, co długo już w toni tej żywot pędzą, bo i stroje ich dawne, i broń niedzisiejsza. Pójdź do nich, pokusi cię woda, ujrzysz to, o czem, dzieckiem będąc, marzyłeś z gorączką w oczach, i czego nikt z żyjących nie widział! A w Świętem ponoć dużo takich cudów. Może dlatego i ptactwo wodne tam się nie trzyma. Prawda, że z jednej tylko strony przy samym brzegu trochę sitowia się zagnieździło, a reszta jeziora czysta zupełnie; lecz mimo to, piękny ten krąg wody bardziej powinien chęcić kaczą rzeszę, a przynajmniej nurom dać schronienie. Ani ubiegłego roku, ani i teraz nie spotkaliśmy tam kaczek. Jedno tylko stadko porwało się, zmykając co tchu ku Wuleckiemu.

Opłynąwszy jezioro, dostaliśmy się znowu w kanał, który tym razem w ciągu piętnastu minut doprowadził nas do jeziora wuleckiego.

(Dok. n.).

ANDRZEJ DE BERIER LONGCHAMPS.



Fragment kanału bielsko-wuleckiego. Fot. A. Longchamps.

Z CYKLU: SYLWETKI MYŚLIWYCH DAWNEGO AUTORAMENTU.

Ś. P. EJNDRYGIEWICZ.

I.

Był to prototyp jednego z tych Sienkiewiczowskich „Laudańczyków" — co to ongiś „żyli" na Świętej Żmudzi. Jedni z nich smołę i dziegieć pędząc, miano z tego powodu „dymnych" nosili, inni znów, myślistwem wyłącznie się trudnili. Do tej to szlachetnej konfraterni niezawodnie należała poczciwa sylwetka Ejndrygiewicza — „per modum" leśniczego Petrykowskich dóbr na Polesiu. Długiemi laty był on kompanem i organizatorem moich polowań nad Prypeci i Ptyczy brzegami. „Dymni" czy myśliwcy, gdy zachodziła tego potrzeba dla obrony Ojczyzny, rzeźwo wychylali się ze swych zapadłych borów i hen! puszczą Zielonką i Rogowską pozostawiając w przeróżnych, słynnego rodu Billewiczów Wodoktach rodzinnych — żony i dzieci, śpieszyli na pomoc Najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Piersią swą zasłaniali Ją zawsze od najazdów septentrionów, szwedów, czambułów tatarzyna i zaporożca-rezuna! Nie dożył biedny Ejndrygiewicz do szczęścia walki za Polskę, gdyż jeszcze w początkach mobilizacji 1914 roku został okrutnie zamordowany przez rozbestwioną jakąś bandę przyszłych „czudogierojów" — moskiewskich żołdaków, przed wcieleniem do szeregów na „ostatki" zażywających „swobody"... Niezawodnie pokazał by bolszewikom, gdzie raki zimują i zadał by im pieprzu ów istny Goljat o metrowych barach, sile niedźwiedziej, płowych wąsach i zacnych wyblakłych, błękitnych oczach... Ów poczciwiec, zawsze pierwszy mnie witał na tak zwanej platformie 304 wiorsty, inaczej Malarówką zwanym przystanku

kolejowym linij Łuniniec — Homel. Na tych to błogosławionych bowiem terenach Chodkiewiczowskich łowisk pp. Dominikostwa Dowgiałłów stawiałem swe pierwsze kroki na arenie toków głuszcowych, objazdu odyńców, rui łosi, sadów kaczych — wydeptywałem błotnych arystokratów dubeltów, jakoteż w czarnych frakach teteruków latem We wszystkich tych okolicznościach zawsze miałem jako mentora głębokiego miłośnika i znawcę przyrody — miłego Laudańczyka!

Co to za radość bywała, kiedy wyrwawszy się od codziennych życiowych kłopotów i trosk, zamajaczył przedemną we mgle wieczoru, na słupie niesamowitego semaforu, elementarny sygnał kolejowy — ogromny kosz łozowy — podjęty wprawną ręką imć pana Bogdanowa. Osobnik ten niezawodnie wysoki szczebel w hierarchji społecznej piastował, bo pełnił funkcje zawiadowcy, stróża toru, kasjera i władzy policyjnej na przystanku śród mszarników i błot poleskich, zapomnianych zda się przez Boga i ludzi! Chwila!... Stateczny, staromodny „bombel" ze zgrzytem swych ręcznych hamulców zatrzymuje się... Odrazu uwydatnia się śród tłumu obutych w łapcie kołtunowatych bab i „czełowików", zazwyczaj filigranowo-mizernych — barczysta postać Ejndrygiewicza, jego specyficznego kroju, noszonego zwykle na kresach przez oficjalistów „minorum gentium" granatowy piękny kaszkiet — zawiesiste, jak dwa wiechcie tabaczkowo-jasne wąsy i cała ogorzała od wiatrów i słońca sympatyczna staroświecka postać... Przyjazne wielce przywitanie się ze mną, ucałowanie ramienia godne i dyskretne — szczery uścisk dłoni ze strzelcem moim Adamem Dymniczem oraz wiernym kozakiem Maksymem. Odrazu szereg raportów łowieckich: „...Tak, że proszę godności hrabiego — śmiało powiedzieć można, że ptactwo i zwierz „som" — czarnych fraków, dubeltów na Korytyckich błotach, Pohibelcu, Świetaniczach jak mrowia!... jak pestek!... „multum" też chowa się nad Prypecią na łąkach — zacznijmy od Korytycz, gdzie, jak zawsze będziemy „zamieszkawszy" w moim domku. Żona już czeka z kolacją, przygotowawszy wazę uczciwego barszczu z rurą — no i wódjoli flaszkę!". A do cholery! to prawda panie Ejndrygiewicz, takiego barszczu jak żona pana, żaden „szef" nigdy nie zgotuje... bo to jest jak wino!... „w głowę" nawet idzie" — ze zwykłą sobie bezceremonjalnością dorzuca Adam Dymnicz, sam były mistrz kulinarny, rzetelnie swój fach nienawidzący.

„Ja howorył, ja howorył szczo tylki baba dobryj borszcz potrafyt' zgotować" (mówiłem, że tylko baba może dobry barszcz przyrządzić) — dodaje sentencjonalnie Maksym o długich sumiastych, misternie zawsze ułożonych wąsach istnego zaporożca!...

Walizki, mantelzaki, worki ładują do pakownej o rozmiarach arki Noego bryki Petrykowskiej — chwila zamętu — głośne wio!... słynnego furmana, dziwne nazwisko Selifona noszącego — i ruszamy nareszcie!

II.

Pięć kilometrów „krąglaków" Korytyckiej grobli — nielada orzech do zgryzienia! Istne katusze, tortury godne hiszpańskiej inkwizycji i czeki bolszewickiej. Jak klawisze podejmują się sękowate, pół zgniłe kłody, podrzucając brykę, jak piłkę do góry. A do tego noc ciemna, choć oko wykol. Jakim cudem w sylwetce głodomora woźnica Selifon i trójka na sianie tylko „sieczką" hodowanych, poleskich koników nic jednak sobie z tych opresyj nie robią — Bogu jednemu i Świętemu Hubertowi chyba tylko wiadomo!?... Męka nadzwyczajnych podskoków trwa dobre dwie godziny. Grzeszne ciało przybiera coraz to nowe pozycje — pod różnymi kątami — do pionowych niemal. Bagaż też fruwa, jak jaskółki w pogodny wieczór — boleśnie rażąc — lecz jakoś nic się nie gubi — boki tylko bolą! Od takiej jazdy dla nieco chorego podróżnego mogą nastąpić li tylko dwa skutki: śmierć po pierwszym kilometrze, lub kompletne wyzdrowienie! Ze mną zawsze dzięki Bogu miała miejsce druga „kombinacja". Ileż to razy przyjeżdżałem do Petrykowa bardzo cierpiący—po Korytyckiej grobli czułem się zupełnie zdrowy — jak ręką zdjęło niedomagania wszelkie! Stanowi to oczywiście pewien „etat de grace" (stan łaski) udzielany przez naszego świętego Patrona swym wiernym adeptom!... Towarzysze moi jednak klną z całej duszy: „A żeby ciebie cholera! — Do cholery! — Cholera, a nie droga!" — zdenerwowanego Adama — „a ne treba buło z domu ichaty, ja howorył" (po co było z domu wyjeżdżać) — mego Maksyma sypią się jak z rogu obfitości — barwnie i soczyście! Ejndrygiewicz zaś najspokojniej paląc papierosa na długim trzcinowym mundsztuku kręconego z domorosłego tytoniu, długo i obszernie dyszkuruje o wszelkich lokalnych plotkach i nowinach — wspomina dawne czasy, jak to on pracował niegdyś w majątkach pp. Meysztowiczów — w godnym domu których żona jego się wychowała, dobrej „edukacji", nabierając — „poloru i dworskości". Informuje nas o pozwoleniu dziedziców na kupno konia wierzchowca, dla objazdu lasów. Koń ten został nabyty u cyganów podczas wielkiego, dorocznego kiermaszu, który, jak „kużdemu" wiadomo, bywa zawsze 23 lipca na świętego Borysa w Petrykowie. Okazał się ów rumak wyśmienitym — trzęsie, coprawda nieco — lecz objechać można cały las — nie zmęczywszy się wcale... Ja, ufając słowom Ejndrygiewicza z ciekawości „zażyłem" raz jeden tego cygańskiego Pegaza. Po dwóch wiorstach szalonego „uniesienia" — szeregu artystycznych „szczupaków, dębów i kozłów" — nastąpił bolesny kontakt z matką ziemią mej skromnej indywidualności! Widocznie „quod licet Jovi, non licet bovi". W danym wypadku Ejndrygiewicz był niezawodnym Jowiszem, a ja? „I ochota pana, tak duże howoryt!" — rzuca niecierpliwie mój Masyra — „aż dusza wyłazyt z czołowika". — „Nuż i cholera! jeszcze parę wiorst i przeto zdechnąć można do cholery!" — ubolewa Adam. — „To zdrowo, to krew oczyści i wszelkie „humory" z głowy „som wybiwszy — ja zawsze jestem trzeźwy i rzeźwy tak sobie podjechawszy — zresztą, już i światło mej leśniczówki widać!" Kilometr jeszcze podobnej ekwilibrystyki i jesteśmy u celu, — już szanowna pani Ejndrygiewiczowa z „polorem i dworskością" wita nas na progu skromnego, a tak zniszczonego dworku... Rozgaszczamy się, na długi tydzień pobytu... Waza z barszczem dymi na stole, apetyczna woń kołdunów litewskich zalatuje z piekarni (kuchni). Kwaszone ogórki, jakich nigdy i nigdzie podobnych nie jadałem, oczekują kolejki „wódjoli" — „bania" ogromna kwasu żórawinowego — jednem słowem bukiet delicyj i ukontentowania rzetelnego! Następnie sen błogosławiony na świeżym sienniku. Dźwięczą: „a do cholery, ja howorył, to jak wino..." — po których Nirwana słodka aż do nowego różanego brzasku. Ach! gdzież jesteście lata ubiegłe mej młodości złotej!

III.

Ileż to zoologicznej erudycji wykazywał poczciwy Ejndrygiewicz — co za znajomość zwyczajów zwierza i ptactwa wszelkiego. Nikt, tak jak on, nie umiał „podmanić" cietrzewi na tokowisku — grając na nerwach ptaka to „czuszykaniem", to kwoktaniem i jękami kury... Bił też ich mnóstwo, nawet bez budki! „Bo to panie hrabio, ptak nie taki „delikatny" jak głuszec — a lata, awanturuje się na tokowisku, jak w karczmie! jak szalony, rozwydrzywszy się jest — nasyczy, nabulgoczy, naczubi się, jak warjat — ta-

kiego i bić nie żal, bo głuszca to się nieraz szkoduje — za piękny jest i taki skromny, nie chce, żeby go ktoś widział pod ten czas. Strzelać go hadko nawet!".

Mistrzem też był na kaczory — a już w sztuce czy wobec tej lub innej roślinności i konfiguracji terenu można było się spodziewać tej lub innej zwierzyny — na skutek wiadomych mu „pryczyn" (warunków) — nie miał sobie równego. Leśnem swem obcowaniem miał na tyle wyrobiony węch, że w upalne dnie odczuwał „wiatr" od stad cietrzewi i starych „liniaków" (wypiorów) nie gorzej od dobrego wyżłalegawca! Fenomenalne! Pewnego razu z leśnikiem Baranowskim, kardynałem de Richelieu przez nas zwanym, literalnie wysylabizowali i podprowadzili do „wywodku" teteruków w trawach. Polowaliśmy na ten czas na wydeptanego z powodu przemęczenia psa. Był też znawcą cech leczniczych przeróżnych roślin. Umiał przyrządzać jakąś, tak zwaną „gadzinówkę" od kurczów i boleści żołądkowych. Nieraz pamiętam, omal życia mi nie ocalił tym swym tajemniczym „kordjałem".

Lat ze trzydzieści w śniegach zimy, żarach sierpniowych, pastelowych kolorytach wiośnianych, w mrokach nocy poleskiej polując z poczciwcem — głęboko przywiązałem się do typowego Żmudzina; do jego gwary iście „z pod Kowna".

Wielkim bólem była wiadomość tragicznego zgonu tej, tak łagodnej w obcowaniu z ludźmi, prawdziwej duszy myśliwskiej. Padł z ręki rozwydrzonej tłuszczy kacapskiej. A było to tylko praeludjum do morza krwi, łez i cierpień coraz to nowych ofiar rezunów bolszewickich.

Odpoczywaj w spokoju kochany panie Ejndrygiewiczu! W Twym zimnym grobie niech Ci się śni Żmudź Święta!

ADAM RZEWUSKI.

W OBRONIE JELENI KARPACKICH.

Niedługo dobiegnie dziesięć lat, odkąd w „Przeglądzie myśliwskim i Łowiectwie Polskiem" poruszyłem po raz pierwszy sprawę konieczności wzięcia w specjalną ochronę, jelenia karpackiego.

Uczyniłem to wtedy nietylko pod wrażeniem klęski, jaką poniosła w Karpatach cała fauna łowiecka, a z niej przedewszystkiem jeleń, ale i w poczuciu rosnącej odpowiedzialności, jaka spada na Polskę, skoro pozbywszy się kajdan, objęła w swe władanie także rozległe jego siedliska.

Nie będę wyliczał, wiele razy i gdzie następnie sprawę tę poruszałem, w każdym razie także w chwili krystalizacji obecnej ustawy łowieckiej, — wszystko bez najmniejszej reakcji.

Z bezwzględnego milczenia, co także jest odpowiedzią, wniosek łatwy, że wezwanie uderzało w próżnię, — gorzej, w niechęć, — z drugiej strony, że uzasadnienie jego miało wiele słuszności za sobą, a że był to wielce niemiły z pewnych przyczyn egoistycznych, temat — więc wolano go zbyć milczeniem, niż zwalczać głośno.

Obecnie wracam znowu do sprawy, gdyż nareszcie przychodzą jej w sukurs poważne głosy. Oto znani polscy myśliwi, p. Knothe w N-rze 15, zaś p. M. hr. Potocki w N-rze 25 — 26 1929 r. „Łowca Polskiego" apelują, aby nareszcie rozpocząć akcję ratunkową zagrożonego jelenia w Karpatach! Apel o ratunek po dziesięciu latach od nastania powojennego „spokoju" w Karpatach! — To daje poważnie do myślenia, że tam nie wystarczają dotychczasowe stosunki ochronne!

Czy logicznie myśląc, może być inny punkt wyjścia powyższej akcji, niż uznawany za zasadniczy dla salwowania każdej innej zwierzyny t. zw. użytecznej: wprowadzenie ustawowej ochrony w porze godowej?!

Otóż w tem leży cała bolączka sprawy, dla której ona dotąd nie została podjęta (i przyznajmy się „w cztery oczy") i zignorowana w nowej ustawie łowieckiej! Bo co dla przeważnej części myśliwych warte są Karpaty bez możliwości strzału do jelenia na rykowisku!?

A jednak zastanowiwszy się poważnie i z uwzględnieniem własnego poczucia myśliwego jako hodowcy, musimy przyznać, że pierwszeństwo wynalazku godzenia w zwierza w tej właśnie porze — należy pozostawić kłusownikowi. Tylko jemu, jako wyjętemu z pod prawa, przystoi podchodzić zwierzynę, wyzyskując jej chwilową bezbronność pod przemożnem działaniem elementarnych, rozrodczych praw natury, i zabijać przed spełnieniem ich zadań osobniki, właśnie prawem rządzącem w przyrodzie, prawem silniejszego, do podtrzymania tężyzny swego gatunku, — przed innemi przeznaczone. Kłusownik przynajmniej kryje się z całą swą akcją, — ale my?!

My nazywamy ją „wysokiem" polowaniem!

Że aż z takiej strony trzeba walczyć o sprawę, — jest bardzo smutne, a fakt ten podaje poważną broń krytykom celowości łowiectwa dotychczasowego, jako jednego ze środków podniesienia dobrobytu krajowego, o czem się często frazesuje. Co więcej, fakt ten, bynajmniej świata naszych myśliwych nie desygnuje na obrońcę reprezentacji istniejącej jeszcze fauny, dla dalszych pokoleń ludzkości.

Boć dzisiaj poruszamy ochronę jelenia, — ale tak samo wypadnie bronić głuszca i cietrzewia, atakowanych przez myśliwych właściwie również tylko w porze godowej.

Cóż za niegodziwiec! Jęką wszyscy zapamiętali rykownicy i tokarze — myśliwi, — przeczytawszy powyższe! To potępieniec, niemający w sobie nic z odczucia piękna najwyższego w przyrodzie! Chcieć odebrać nam powyższe rozkosze! Rykowisko i toki!!

Otóż — nie! Stanowczo — nie! Proszę w imię logiki ochronnej, ustawowo uświęconej przy każdej pospolitszej zwierzynie łownej, o nieco tylko względności i tylko na razie o częściowe poświęcenie się dla dobra tej, rzekomo tak umiłowanej zwierzyny.

Proponuję objęcie czasem ochronnym tylko pierwszych dwu tygodni z faktycznej pory godowej przedewszystkiem jeleni, — a więc w Karpatach odstrzał byków od 1 października, trwający natomiast do końca roku.

Terminem ochrony jelenia należy, mojem zdaniem, objąć przedewszystkiem czas od 15-go do końca września, jako czas pierwszej połowy rui. Aby regeneracja nie prowadziła do degeneracji i abyśmy z czasem nie przeszli w Karpatach do typu hodowanego np. w Lesie Wiedeńskim, gdzie jelenie są wielkości prawie dobrego daniela, musimy dbać o to, aby najsilniejsze byki, które jako takie, zachowawcza natura na to predestynuje, miały także z naszej strony pełne warunki do reprodukcji; a więc spokój w kniei przedewszystkiem w rykowisko.

Ochrona tego spokoju, ochrona przed kłusownikiem przedewszystkiem w tej porze — to obowiązek hodowcy! — W tem tkwi niezapomniana zasługa ś. p. Artura hr. Potockiego z Krzeszowic, który pierwszy objął swą potężną opieką, rykowiska jeleni w Karpatach z galicyjskiej strony.

Każdy doświadczony myśliwy karpacki wie, że najsilniejsze byki pierwsze rykowisko zaczynają; popro-

stu pierwsze reagują płciowo na łanie; — dlatego więc należy pierwszą część rykowiska im poświęcić do spełnienia zadania reproduktorów.

A czyż osobista ochrona spokoju i przeczekanie w rewirze tej pory zapładniania łań, przy spożytkowaniu jej na rozpatrywanie się w bykach przy pomocy doskonałych szkieł dzisiejszych, nabywanie wprawy w ostrożnych podchodach, poznawanie przesmyków etc., czy to nie jest najpiękniejsze użycie rykowiska, aby w drugiej jego części, (gdzie przeważnie wszystkie łanie już są pokryte), zrobić z zupełną i zasłużoną satysfakcją najwłaściwszy użytek z kuli?!

Czyż taki program to jest naprawdę pozbawienie myśliwego najwyższej rozkoszy karpackiej — polowania na podchodne na jelenia?!

Jestem przekonany, że takiem poszanowaniem głównej części rykowiska dla właściwego jego celu — dla dobrej rozmnoży, ochroniłoby się Karpaty nietylko od jeleniego wyludnienia, ale przy właściwym odstrzale, i jelenia od degeneracji.

Takie opanowanie siebie musiałoby wkrótce doprowadzić do właściwej oceny rykowiska, jako dla myśliwego-hodowcy „res sacrosancta" — i po ustawowem w pełni ujęciu, zapewniłoby kwitnący u nas byt tej królewskiej zwierzynie.

Dr. W. B.



POLOWANIE NA DZIKI Z POMOCĄ JEDNEGO TYLKO PSA.

Na dziki polujemy najczęściej w trojaki sposób, a mianowicie:

1) z naganką,
2) z liczniejszą psiarnią, a wreszcie
3) z jednym tylko psem.

Ponieważ ten ostatni sposób jest najmniej kosztowny i dla wielu myśliwych bardziej dostępny, więc go tutaj opisuję, azeby niejednego z początkujących myśliwych z tego rodzaju bardzo interesującem polowaniem, choć teoretycznie zapoznać.

Pragnąc w ten sposób na dziki polować, wystarać się przedewszystkiem trzeba o odpowiedniego do tego, psa, który powinien dzika najpierw wytropić, a następnie go stanowić, nie napastując go jednak zębami. Ażeby pies mógł jednak powyższe zadanie należycie spełniać, nie wolno mu gonić innej zwierzyny, jak jedynie tylko dziki, a w tym to celu pewną tresurę najpierw przejść musi. Głównym narazie warunkiem dotyczącym psa, jest w pierwszym rzędzie to, ażeby tenże bezwarunkowo nie był znarowionym włóczęgą-kłusownikiem, takiego bowiem psa, który już raz zasmakował w uganianiu się za wszelkiego rodzaju zwierzyną, nadzwyczaj trudno tegoż narowu oduczyć, a najczęściej — nigdy. Wybrany więc przez nas pies, winien być przedewszystkiem od najwcześniejszej jego młodości pilnie strzeżony, w przeciwnym bowiem razie wyrobi się w nim trudne do wykorzenienia upodobanie do gonienia wszelakiej napotykanej zwierzyny, przez co w zupełności zatraca całą swą, jak w tym wypadku, wartość.

Tresura, jaką pies taki przebyć musi, polega głównie na tem, że oddajemy go najpierw na praktykę świniarkowi, pasącemu w polu swą trzodę chlewną, w czasie czego przyswaja on sobie pierwsze, a najpotrzebniejsze, elementarne wiadomości, zaznajamiając się gruntownie w ciągu tejże praktyki z trzodą chlewną, oraz z jej obyczajami, przyczem zapoznaje się jaknajlepiej i ze szczuciem.

Gdy więc wybrany przez nas pies 7 miesięcy ukończy, wtedy oddać go należy jakiemu sprytnemu świniarkowi, pod którego dozorem powinien odtąd stale przebywać, przynajmniej w ciągu 3 miesięcy, co ostatecznie w zupełności wystarcza, ażeby z podobnej praktyki należycie skorzystał, poczem dopiero zaczynamy zabierać go z sobą do lasu i podprowadzać do dzików. W podobny więc, a dość prymitywny sposób, rozpoczyna się początkowe kształcenie psa, przeznaczonego do tego rodzaju polowań.

Jak już wyżej nadmieniłem, bezwarunkowo dopuścić nie należy, ażeby taki właśnie pies miał kiedykolwiek pogonić za inną, aniżeli dzik, zwierzyną, jeśli na rzeczywiście dobrego psa wyszkolić go zamierzamy. By tego dopiąć, dołóżmy więc przedewszystkiem wszelkich możliwych starań, ażeby pierwszą zwierzyną, którą w lesie pogoni, był z samego zaraz początku jedynie tylko dzik, co już najlepiej nam się powiedzie w czasie ponowy, po wyraźnych bowiem na śniegu tropach, najłatwiej i najpewniej możemy psa do dzików podprowadzić, a że nauczył się już przedtem, w czasie swej praktyki u świniarka, co właściwie rozkaz „huź-go!" oznacza, gdy na dziczych tropach się znajdzie i rozkaz ten od myśliwego posłyszy — natychmiast za dzikiem pogoni.

Pies powinien dopadniętego dzika zajadłem oszczekiwaniem jedynie drażnić, a nie kąsać i kaleczyć, do czego zresztą już przywykł w czasie swej praktyki u świniarka, tembardziej, że był przez tegoż niejednokrotnie karany, gdy kiedykolwiek na której ze świń, w czasie ich zaganiania, zębów swych próbował.

Jest to rzeczą zupełnie dla myśliwego obojętną, czy psa swego do starszych, czy też do młodszych dzików podprowadzi, ponieważ pies, jak pierwszych, tak też i drugich, zębami atakować nie powinien, a winien je natomiast zajadłym swym szczekiem bezustannie drażnić i stanowić, w razie zaś ich ucieczki — doganiać i w tenże sam sposób dalej atakować. Głównem zaś znowu zadaniem samego myśliwego, zaprawiającego psa do tego rodzaju polowań, jest

przedewszystkiem strzelanie jedynie tylko do dzików, mną bowiem zwierzynę bezwarunkowo zawsze bez strzału przepuszczać powinien, jak również psa natychmiast karać, jeśliby kiedykolwiek innego zwierza, aniżeli dzika, gonić zechciał, to też zaleca się, ażeby psa zaprawiać podczas pierwszych jego występów, o ile możności tylko w czasie ponowy, wtedy bowiem możemy najzupełniej być pewni, że rzeczywiście do dzików go doprowadzamy. Pozatem na białej stopie łatwiej możemy kontrolować wszelką jego czynność, ażeby go samopas własnym jego zapatrywaniom, zwłaszcza w początkach tej leśnej praktyki, nie pozostawiać.

Gdyby miano odpowiedzieć na pytanie, czy egzystuje jaka rasa psów, nadająca się specjalnie do tego rodzaju polowań — musiano-by oczywiście temu zaprzeczyć. Aczkolwiek powinniśmy hołdować zasadzie i w tym kierunku współdziałać, ażeby jedynie tylko rasowe psy były do polowania używane, to jednak sądzę, że jak w tym właśnie wypadku możemy, a nawet musimy od tejże chwalebnej zasady odstąpić, pies bowiem, do podobnych polowań używany, powinien posiadać pewnego rodzaju zalety, jakie tu, lub ówdzie odnajdujemy, tak u najrasowszych wyżłów i jamników, jak u najpospolitszych, przebastardowanych, wiejskich kundli, a bardzo często nawet pomiędzy tymi ostatnimi widywano psy, które spełniały swoje zadanie o wiele lepiej, aniżeli najszlachetniejsze rasowe.

Przymioty wymagane od psa, używanego do tego rodzaju polowań, są tak minimalne i jednostronne, że przy wyborze młodego psa, zwracać głównie uwagę należy, ażeby tenże posiadał ku temu nieco pewnych zdolności, dalszy bowiem rozwój tychże zależy tylko od przyszłej jego praktyki u pastucha trzody chlewnej, następnie zaś od prowadzącego go w lesie, myśliwego. Przy umiejętnem ułożeniu psa, rzadko wogóle kiedy zawód nas spotka, zwłaszcza jeśli nam się uda zdobyć szczenię, którego rodzice odznaczali się dobremi pod tym względem zaletami, a jest to już, jak w tym wypadku, najzupełniej dla nas obojętne, czy będzie to jaki mieszaniec wyżła ze szpicem, czy inny jaki najordynarniejszy nawet kundel, że zaś niekiedy i tu nas zawód spotka, jest to najzupełniej zrozumiałe, gdyż i w podobnem gnieździe znaleźć się może jaki wyrodek — absolutnie do niczego nie zdolny.

Najlepsze do tego psy, widywane dotychczas przy podobnej robocie, były to przeważnie średniej wielkości, lekkie, a zwinne, brodate kundle, podobne z figury do średnich pinczerów, a kształtem swej głowy przypominające niektóre ostrowłose psy owczarskie, pozatem zaś specjalnych rasowych oznak literalnie nie posiadały, gdyż prawie że wcale nie były do siebie podobne. Z przeróżnych psów najmniej nadają się do tego, o ile się przekonano — jamniki, które pracują coprawda dobrze, gdy bezpośrednio na dzika się natkną, a nawet powiedzieć można, że pracują wtedy lepiej, aniżeli inne psy, posiadają jednak tę nieszczęsną, a nie do wykorzenienia przywarę, że gdy natkną się na pomykającego zająca, wtedy pędzą za nim, zapominając na dobre o dziku.

Przypuszczam, że do podobnych polowań nadawałby się również nasz ostrowłosy foxterrier, jako pies nadzwyczaj pojęty, a przytem z natury posłuszny — podatny więc, jak praktyka dowiodła, do najtrudniejszej nawet tresury. Nie słyszałem coprawda dotąd, ażeby bywał gdziekolwiek do tego używany, lecz sądzić można, że próby z tymże pieskiem, jako nadzwyczaj zajadłym, w dodatku, lekkim, sprężystym i bardzo zwinnym, wypadłyby i w tym kierunku jaknajpomyślniej, pomimo że właściwą czynność tego, ze wszech miar doskonałego pieska, ma zgoła inne w myślistwie przeznaczenie. Naturalnie musiałby i on być do tego celu tak samo wpierw wyszkolony, jak to już przedtem było tu opisane.

Gdy więc naszego psa w wyżej omówiony sposób na dziki ułożymy i gdy pewną ich ilość z jego pomocą upolujemy, wydoskonala się on wtedy w tejże robocie stopniowo coraz to lepiej i sam przez się doskonale pojmować zaczyna, że głównem jego zadaniem nie jest odganianie, a tylko stanowienie dopadniętego dzika, w czasie czego poczyna stosować, z własnego już doświadczenia, coraz to doskonalszą, a powiedzieć można, że wprost wyrafinowaną taktykę, napadłszy bowiem z furją na dzika, cofa się w tymże prawie momencie zaraz z powrotem, zniewalając tem swego przeciwnika do ruszenia za nim, poczem z zajadłym szczekiem dopada go wnet znowu, uszczypnie w udo, gdy tenże zwekslować zamierza, a gdy rozwścieczony dzik sunie groźnie ku niemu, udaje ucieczkę, by temu podobny atak bezzwłocznie, a w tenże sam sposób ponownie rozpocząć. Tego rodzaju taktyką koncentruje pies całą uwagę stanowionego dzika wyłącznie na sobie samym i prawie że w jednem miejscu w ten sposób go stanowi, co, jak nieco dalej się przekonamy, miewa dla myśliwego nielada znaczenie.

Podobne polowanie zaliczyć więc można do najodpowiedniejszych, jak żadne inne, dla zwiedzających swoje rewiry leśniczych, w czasie bowiem tejże inspekcji, pies innej zwierzyny, prócz dzików, nie niepokoi. Im więcej wprawy pies przez praktykę nabywa, tem oczywiście łatwiej i prędzej do dogodnego strzału myśliwy dojść może.

Jak więc widzimy, to przedewszystkiem i głównie chodzi tutaj o to, ażeby pies nauczył się możliwie jaknajdłużej w jednem a tem samem miejscu dzika stanowić, czem znakomicie ułatwia myśliwemu zbliżenie się pod wiatr od stanowionego zwierza i oddanie celnego doń strzału.

Jak to ostatnie jest dla myśliwego wprost niezbędne, celem osiągnięcia możliwie prędkiego i dobrego rezultatu, tak samo znowu bardzo mozolnem niekiedy dlań bywa, w czasie bowiem dokonywania tych podchodów, przedzierać się często musi przez tak niekiedy zwarte gęstwiny, że nawet na czworakach przebywać takie miejsca wprost jest zmuszony, a licząc się jednocześnie i z kierunkiem wiatru, aż nazbyt często okrąża i większe naraz przestrzenie, zanim do stanowionego dzika przedostać się zdoła. W takim to właśnie wypadku przekonać się najlepiej możemy, jaką nieoszacowaną wartość pies dla nas przedstawia, gdy umie przez czas dłuższy w jednem a tem samem prawie miejscu dzika nam stanowić.

Nie szczędźmy więc w podobnych wypadkach wszelkich, a najmożliwszych z naszej strony trudów, tembardziej, że nasze zabiegi na nic tu się nie zdadzą, gdybyśmy z wiatrem do stanowionego dzika zbliżyć się mieli, wtedy bowiem jaknajlepszy nawet pies zatrzymać go w miejscu nie zdoła.

Nic nie jest dla myśliwego bardziej zawodne i nad wyraz przykre, jak coraz to bardziej oddalający się od niego gon i szczek psa, a to tembardziej, gdy łudził się już pełną nadzieją, że lada moment do dogodnego strzału jednak dojść zdoła. Nie pozostaje mu wtedy nic innego do zrobienia, jak całą tę robotę rozpocząć na nowo, a to, aż nazbyt często z prawdziwą trudnością przychodzi. Szczególniej w zwartych zagajnikach, czy też w dobrze podszytej dębinie, musi myśliwy w czasie tychże podchodów zachowywać się zawsze do tego stopnia uważnie i jaknajostrożniej, ażeby nieopatrznem nadepnięciem jakiej trzeszczącej gałązki, a nawet zeschłego, szeleszczącego liścia — dzika nie spłoszyć. Zwykle też po dwu, lub trzech, w podobnych warunkach niefortunnie odbytych podchodach, bywa myśliwy do tego stopnia już wyczerpany, że z umęczenia nie jest wprost zdolny spokojnie, a celnie się złożyć, gdy nareszcie po tak uciążliwych trudach na możliwą odległość do dzika podejść mu się uda.

EMIL KARNEY.

(Dok. n.).



ROZMOWY O OBWODACH ŁOWIECKICH.

III.

B. Moje uszanowanie panu referentowi!

Referent starostwa. Dzień dobry!.... Czem panu mogę służyć?

B. Jak pan referent zapewne wie, jestem właścicielem trzydziestowłókowego folwarku w gminie F. Do gruntów moich przylega wieś C, mająca niespełna 500 morgów powierzchni. C ze wszystkich stron otoczona jest folwarkami, które zarejestrowane zostały jako obwody łowieckie własne. Ponieważ w C grasuje kilku kłusowników i wnykarzy, właściciele obwodów własnych po wspólnej naradzie polecili mi wydzierżawić wioskę. Ja zatem miałem figurować jako oficjalny dzierżawca. Dużo czasu i trudu poświęciłem, aby wreszcie skłonić gospodarzy C do zgodzenia się na zawiązanie spółki łowieckiej. Zadowolony, że nareszcie sprawa weszła na dobrą drogę, ubiegłej niedzieli zaraz po sumie zaprosiłem na obiad, wójta i pisarza gminnego i przywiozłem ich do siebie karetą. Zaprosiłem również sołtysa i paru starszych gospodarzy. Dla reszty właścicieli C urządziłem przyjęcie w nieczynnej od kilku lat, gorzelni. Nie brakowało ani jednego gospodarza, a wielu z nich przyprowadziło z sobą żony i dorosłe, lub dorastające dzieci.

— Czy i wy głosować będziecie? — zapytałem.

— E, nie! Rachowaliśma ino, ze pon dziedzic pozwolom, jak sie syćko dobze skuńcy, to potańcujema se ksynke.

— Dobrze! Tańczcie sobie choćby do rana!... A muzykę macie?

— Ni.

— No to jakże będzie?

— Hano Walek Graborcyka piknie wygrywa na harmoniji.

— A jest on tu?

— Nima.

— To sprowadźcież go czemprędzej!

— Chłopoki! Skocta po nigo! Ino duchem! — odezwało się kilka głosów.

We dworze rolę gospodarza domu spełniał pan H, właściciel folwarku S, a w gorzelni mój szwagier; ja zaś musiałem pokazywać się to tu, to tam na zmianę. Po obiedzie, kiedy wszyscy znaleźliśmy się w gorzelni, wójt przystąpił do swych czynności „urzędowych". Wszyscy niemal gospodarze zgodzili się zawiązać spółkę. Powstał jednak jeden chłopek (niezłowiony jeszcze na gorącym uczynku kłusownik) i w takie mniej-więcej odezwał się słowa: „Jo ta nic ni mom pseciw, chciołbym ino wiedzieć, co zrobima z pinidzmi, którne nom daje pon dziedzic za polowanie, boć pewnikiem sobie ich nie weźmiema!... Nie zbogacima się, jak kuzdyn z nos weźmie po te kilko złotych za swoje morgi!... To powinny być śpólne pinindze, i wydać je musima na śpólne, gromadzkie pozytki!... Psykłodem, moma škołe, w którnej dachówka wsyndzie psecieko, i dzieciokom nosym desc na łby leci!... Abo ten piec, z któryga ciepło razym z dymym ucieko, i dzieci cingim z zazimbinia chorujom!... Na remunt škoły powinniśma doć te pinindze!..." — Oponuje mu drugi (również kłusownik): „Som winkse niescyńścia na świecie, jak zły budynek školny!... Psykłodom, pieruny, od którnych i škoła i cało wieś naso spolić sie moze!... Jak łońskiego roku spolił sie od pieruna Psyroba, to do dziś dnia jesce sie nie odbudowoł, chocia dziedzic mu duza pomogoł... Nosiliśma wode wiaderkami ze studni i ze strugi... Na nic sie zdoło!... Syćko z dymym posło!... Ale, widzita, Psyroba mioł swoje budynki o štyry staja wbok ode wsi, to sie nic wincy od ognia nie zapoliło... A jak tsaśnie we rsiodek wsi, to od chalupy ogień psendzie na obore, od obory na stodołe, a od stodoły puńdzie do somsiada, i tak cało wieś w popiół sie obróci!... Jak Psyroba sie polił, tośma sytkie pośli ratować, chocia nadarmo, a jak wieś bedzie sie polić, to kuzdy-jeden ino swojego dobytku bedzie bronić!... Wiaderka nic nom nie poredzom!... Tu tsa mieć sikowke, którnoby wode ciongneła z rzyki i z samygo pocuntku ogień ugosiła. Redze pinindze za te podpisy, którnych chce wójt i dziedzic, wziąć na kupienie sikowki!...". — Trzeci (wnykarz) powiada: „Dobze jest gosić pozor sikowkom, ale lepiby było, kieby pozorów cole nie było!... A locoge w duzych miostach nimo pozorów od pierunów?... Lotego ze na kuminach i dachach som takie wystajonce do nieba druty!... Pierun tsaśnie ino w taki drut i tocy sie do ziemi i nic nie zapoli!... Takie druty tsa nom kupić za te pinindze i powystawiać we wsi!...".

Referent starostwa. Rozumiem pana: nastąpiło rozbicie głosów, i spółka nie została zawiązana.

B. Tak. Razem z wójtem i pisarzem namawiałem chłopów, aby zgodzili się na jedno, bądź by wzięli pieniądze z tem, że później się namyślą, jak je wydatkować. Na nic się to jednak zdało: kłócili się tak zawzięcie, że i pięści w ruch poszły, aż wreszcie, wzburzeni, grupami zaczęli opuszczać gorzelnię. Zgodnie i z wyrazem zadowolenia na twarzach wyszli tylko ci trzej chłopkowie, których przemowy przytoczyłem. Przypuszczam tedy, że zawczasu umówili się oni, jak rozbić niewygodną dla ich procederów spółkę, no i zamierzenia swego dopięli.

Referent starostwa. A tańce były?

B. Gdzież tam! Młodzież, co przyszła, aby się zabawić, wyszła za starszymi, opuściwszy nosy. Niezadowolony był i Walek, bo nie miał sposobności popisać się swą grą na harmonji, ale największy zawód spotkał mnie i moich mocodawców!

Referent starostwa. Żadnej na to rady dać panu nie mogę, albowiem, gdyby nawet odbyło się głosowanie, miałoby ono w myśl art. 20 ustawy moc prawną tylko wówczas, kiedyby zwykła większość głosów wypowiedziała się za przeznaczeniem pieniędzy na utrzymanie straży łowieckiej lub na cele hodowlane. Użycie funduszów spółki na inne cele wymaga jednomyślności członków.

B. Panie referencie! Jednomyślność w spółkach małorolnych tylko wyjątkowo zdarzyć się może, a fakt przeznaczenia pieniędzy na straż i na cele hodowlane nigdy się nie zdarzy!... Wszakże teraz chodzi mi już o co innego: mianowicie chciałbym zapytać, czy niema jakiego przepisu, upoważniającego naszą straż łowiecką do śledzenia terenu wsi?

Referent starostwa. Na zasadzie art. 23 ustawy strażnik winien donosić o przekroczeniach łowieckich, popełnionych na obwodach, jego pieczy powierzonych. Teren niezarejestrowany w starostwie, nie stanowi obwodu. Wynika stąd, że właściciele C mogą pańskim strażnikom łowieckim wzbronić wstępu na swoje pola.

B. Co zatem mamy począć, aby zwierzyna nasza nie była tępiona na polach wsi C?

Referent starostwa. Trudno coś na to poradzić. Poproszę wszakże komendanta, aby, o ile to okaże się możliwem, częściej posyłał policjantów do C.

B. Dziękuję panu referentowi choć za to.

(Dok. n.).

Dr. J. ŻENCZYKOWSKI.



Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

INTERPRETACJA URZĘDOWA ART. 45 PRAWA ŁOW.

Ministerstwo Rolnictwa w piśmie z dnia 11 czerwca r. b. Nr. 1103-L. I., w sprawie interpretacji art. 45 prawa łowieckiego, wyjaśniło, co następuje: „W myśl przepisu art. 45 prawa łowieckiego, zakaz polowania z chartami i gończymi, rozumieć należy w ten sposób, iż zakazane są tego rodzaju polowania w obwodach łowieckich, mniejszych od 2.000 ha, a nie na obszarach składających się z kilku obwodów.

Z WOŁYŃSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Dnia 11 czerwca odbyło się w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie, doroczne walne zebranie członków Wołyńskiego Towarzystwa Łowieckiego. Towarzystwo to zostało założone na początku 1928 r. i obecnie zamknęło swój pierwszy, pełny rok myśliwski. Towarzystwo dzierżawi tereny rządowe i prywatne w powiatach Kowelskim, Kamień-Koszyrskim i Sarneńskim, przy stacjach Maniewicze i Kamień-Koszyrski. Ogólna przestrzeń terenów dzierżawionych wynosi około 30.000 ha. Są to wyłącznie prawie lasy. Na terenach tych przez czas wojny i po wojnie nie prowadzono żadnego gospodarstwa łowieckiego i nie stosowano żadnej ochrony. Stąd upadek zwierzostanu po wojnie i rozwielmożnione kłusownictwo, z którem Wołyńskie Towarzystwo Łowieckie rozpoczęło obecnie walkę. Dotychczas schwytano dziewięciu kłusowników, odebrano pięć strzelb i wszczęto osiem spraw sądowych. Tereny są chronione przez własną straż łowiecką. (Tow. posiada stałego łowczego, mieszkającego w domu myśliwskim przy stacji Maniewicze, i 6-ciu strzelców), pozatem zaś do ochrony są pociągani gajowi rządowi, policjanci etc., którym są wypłacane nagrody (do 50-ciu złotych) za złapanie kłusownika, odebranie broni etc.

W zakresie żywienia zwierzyny, Wołyńskie Towarzystwo Łowieckie po okresie prób i doświadczeń rozpoczęło akcję planową, rozwijając ją szczególnie intensywnie w trudnych dla zwierzyny, ostatnich miesiącach ubiegłej zimy. Surowa zima tegoroczna na terenach Towarzystwa nie wyrządziła większych strat, jak zresztą wszędzie prawie na Kresach Wschodnich. Straż łowiecka Towarzystwa zanotowała zaledwie kilka wypadków ubytku w zwierzostanie. Natomiast w zestawieniu ze stanem zwierzyny z przed dwóch lat i z przed roku, obserwacje obecne wskazują naogół wydatną poprawę: stan sarn, zajęcy, lisów — poprawia się stale, dzików w zimie 1928/29 r. było mniej niż w zimie 1927/28, jednak długie stada młodych warchlaków, prowadzone przez maciory na wiosnę r. b., zdają się zapowiadać poprawę i w tym gatunku zwierzyny, najpopularniejszym na zimowych polowaniach wołyńskich. Stan głuszców jest bardzo dobry, jarząbków zdaje się przybywać, z cietrzewiami jest gorzej, najgorzej zaś stosunkowo z kaczkami, których na dzierżawionych przez Wołyńskie Towarzystwo Łowieckie rozlewiskach Prypeci i Turji jest coraz mniej. Ten ubytek jednak jest prawdopodobnie tylko przejściowy, spowodowany spóźnioną wiosną 1929 r.

Ogólne zebranie członków Wołyńskiego Towarzystwa Łowieckiego, któremu przewodniczył p. W. Podhorski, wysłuchało w tych sprawach wyczerpującego sprawozdania ustępującego zarządu. Sprawozdanie składał nadłowczy Towarzystwa, p. Władysław Gieysztor. Złożone także zostało sprawozdanie rachunkowe, które wykazało, że pierwszy okres istnienia Towarzystwa od stycznia 1928 r. do 31-go maja 1929 r. zamknięty został nadwyżką dochodów w kwocie złotych 3.579.61 przy obrocie złotych 26.437.44 (suma cyfr bilansowych za oba okresy), przy 25-ciu członkach i stopniowo zwiększanej składce od złotych 500 do złotych 950 rocznie. Bilans został zatwierdzony. Zatwierdzony również został budżet na rok myśliwski 1929/30 w kwocie złotych 40.000.— przy 30-tu członkach i składce rocznej złotych 1.300 (wpisowe 300 złotych).

Na zebraniu dokonano wyborów nowego zarządu, który obecnie jest w składzie następującym: p. J. Gieysztor — prezes, p. J. Iwanowski — wiceprezes, o. M. hr. Potocki — nadłowczy, p. J. Nowicki — sekretarz i skarbnik, pp.: W. Podhorski i R. hr. Potocki — członkowie. Komisję Rewizyjną stanowią pp.: J. Błeszyński i Stefan Byszewski.

Rozkład zwierzyny, ubitej na polowaniach Wołyńskiego Towarzystwa Łowieckiego w roku myśliwskim 1928/29, jest następujący:

Rysi 3, wilków 4, dzików 12, rogaczy 4, lisów 10, zajęcy 38, głuszców 25, cietrzewi 92, jarząbków 17, słonek 46, kaczek 342, bekasów 83, dubeltów 5, innego ptactwa błotnego 13, kuropatw 9, jastrzębi 24, puhaczy 2, czapla 1, psów 82, kotów 2.



ZWALCZANIE KŁUSOWNICTWA W POW. RADOMSKM.

Przeprowadzone obławy na kłusowników na terenie powiatu radomskiego dały następujące wyniki:

Schwytano na gorącym uczynku 2 kłusowników z bronią w ręku, odebrano ogółem 11 sztuk broni palnej myśliwskiej i znaleziono 14 sztuk sideł na kuropatwy, przyczem trzech sprawców schwytano na gorącym uczynku zastawiania sideł.

W akcji tej odznaczyli się specjalnie: posterunkowi Kwapiszewski i Musiał z posterunku pol. państw. w Milejowicach, którzy, zauważywszy podczas patrolu, kłusownika z bronią w ręku, pozrzucali przy dwudziestokilko stopniowym mrozie płaszcze, dla łatwiejszego pościgu, ścigali kłusownika na przestrzeni blisko 4 klm. przez pola zawalone śniegiem, i wreszcie schwytali go. Przez ten czas kłusownik porzucił broń w zagajniku i nie chciał wskazać miejsca, gdzie to uczynił; szukali więc tak długo, aż ją znaleźli.

Post. Kwapiszewskiego i Musiała, którzy wskutek tego pościgu zachorowali obaj na zapalenie płuc, przedstawiono p. komendantowi wojewódzkiemu w Kielcach z wnioskiem udzielenia im nagród.

St. przod. Kędziora, komendant posterunku w Wyśmierzycach, i post. Gajos i Seroka z tegoż posterunku zdołali schwytać z bronią w ręku niezwykle niebezpiecznego kłusownika Józefa Machalskiego ze wsi Smardzew. Machalski jest kłusownikiem od szeregu lat, broń jednak tak dobrze ukrywał, że dotychczas akcja przeciw niemu nie dawała wyniku.

St. poster. Szlachetko i poster. Tyka, Kocik i Gronkowski z posterunku p. p. w Wieniawie wspólnie odebrali 5 sztuk broni palnej.

Tow. Łowieckie „Jedność" w Radomiu, za pośrednictwem delegata powiat. Centr. Zw. P. St. Łow. p. Wł. Żarnowskiego przesłało do komendanta p. p. w Radomiu 25 zł. nagrody dla posterunkowego z poster. Jedlińsk, Kwiatkowskiego, który odebrał od kłusownika broń na terenach dzierżawionych przez to Tow.

Gajowy lasów prywatnych majątku Potworów, Zygmunt Jankowski przyłapał w lesie wnykarza Józefa Popławskiego, którego starosta ukarał 14-dniowym aresztem.

Wykaz osób, pociągniętych do odpowiedzialności admin.-karnej w powiecie radomskim za naruszenie ustawy łowieckiej w czasie od 1.XI 1928 r. do 1.III 1929 r. obejmuje 91 osób. Najwyższa kara wynosiła 125 zł. i 14 dni aresztu.

W sezonie łowieckim od 1.IX 1928 r. do 4.III 1929 roku odebrano od różnych osób następującą ilość broni: rewolwerów — 23, sztucerów — 3, myśliwskiej broni — 27. Razem 53 sztuki.

Z WYSTAWY PSÓW MYŚLIWSKICH W POZNANIU

Od dnia 1 do 4 czerwca włącznie, odbyła się wystawa psów rasowych na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

Zdawałoby się, że na tym terenie spotkamy się z dorobkiem hodowlanym całej Polski; niestety, zdziwienie było niemałe, kiedy zauważono szalone braki psów myśliwskich, a szczególnie pointrów.

Ze wszystkich wystawionych pointrów najładniejszym okazem była suka „Prima", własność p. A. Brudnickiego z Warszawy; dostała jednak tylko srebrny medal, natomiast czarna suka „Lady", własność p. B. J. Morawskiego z Torunia, otrzymała duży medal złoty, mając w eksterjerze wielkie braki, jak np. wadliwą budowę nóg.

Kilka stylowych psów szorstkowłosych wystawił znany w Polsce hodowca, p. Ignacy Jasiński ze Strzelna, i tak: pies „Boy" otrzymał tylko list pochwalny; piękna, gładka suka „Leda" z nad Gopła — mały medal srebrny, suka „Ira" — mały medal złoty, a jedyny już dzisiaj rzadki okaz, ładna gordon-seterka „Kora" otrzymała tylko list pochwalny.

Niewiadomo, czem się kierowali pp. sędziowie, dając tak skąpą ocenę wymienionym powyżej psom, które bezsprzecznie zasłużyły na lepszą nagrodę.

Dużego zainteresowania się tą wystawą nie zauważono, a przecież w Polsce mamy tylu myśliwych, braci z pod sztandaru św. Huberta.

T. BODAKIEWICZ.

— **Odczyty łowieckie.** — Podczas wycieczki Wrzesińskiego Koła leśników do Iwna, połączonej z premjowanem strzelaniem kulą i do rzutków, wygłosił p. Fr. Przychodniak odczyt na temat „Kłusownik a ochrona zwierzyny", oraz p. Vogt — p. t. „Ustawa łowiecka".

— **Zbrodnia kłusowników.** — W Wygodach pow. wolsztyńskiego postrzelony został przez kłusowników, leśniczy Ludwik Stark. Młodocianych sprawców, braci Kostrzewów z Kąkolewa, aresztowano i odstawiono do więzienia.

— **Wypadek na polowaniu.** — W Dąbrowie Małej pod Bydgoszczą p. W. Ratajczyk zabił w czasie polowania sołtysa W. Majewskiego. P. Ratajczak posłyszawszy w pewnej odległości od siebie jakiś szelest, był przekonany, że zbliża się lis, i nie namyślając się, wystrzelił z fuzji.

Bibljografja Łowiecka.

„Słowo" wileńskie w dodatku czerwcowym, poświęconym łowiectwu, zamieściło następujące artykuły: „O ochronę zajęcy" Wiesława Światopełka-Mirskiego — „Najsłodsze łowy" Michała K. Pawlikowskiego. — „Łowiectwo w gminie rakowskiej" Aleks. Sieckiego. — „Polowanie na grubego zwierza (Historja prawdziwa)" Michała K. Pawlikowskiego. — „Garść statystyki łowieckiej". — „O ochronie wiewiórki" L. Pac-Pomarnackiego. — „Informowanie" w sprawach łowieckich" M. P. — „O ogon psa" J. Tuhan-Baranowskiego. — Z Towarzystwa Łowieckiego Wojew. Wileńskiego". — „Dział prawny" M. P.

„Przegląd Leśniczy" w ostatnich zeszytach zamieścił następujące artykuły, dotyczące łowiectwa: P. Magdzińskiego „Choroby zwierzyny i sposób ich zwalczania". — F. Rożyńskiego „W sprawie drapieżników". — Wiesława Szczerbińskiego „Propaganda łowiecka". — Józefa Ziółkowskiego „O bobry wielkopolskie". — „Plaga kłusowników". — „Wnykarz". — „Czy wykładanie trutek jest w myśl ustawy dozwolone?".

„Mój pierwszy lis". — „Pierwsza Polska Powszechna Wystawa Łowiecka na P. W. K. w Poznaniu". — „Ku rozwojowi łowiectwa na Pomorzu". „Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych".

„Las Polski" zamieścił pracę p. Henryka Opałańczuka p. t. „Użyteczność ptaków leśnych na zasadzie badania zawartości ich żołądków".

„Echa Leśne" zamieściły w ostatnich zeszytach: „Sztuczne karmienie zwierzyny podczas zimy". S. B. — Kilka słów o kaczkach" Wiesława Szczerbińskiego". — „Z pożółkłych kart" Venatora. — „Sarny" inż. W. Szczerbińskiego. — „Polowanie na tokach cietrzewich" Leona Pęskiego.

„Świat Zwierzęcy" w numerze majowym zamieścił między innemi: „Pomnik wierności psiej w Niemczech" J. M. K. — Maurycego Trybulskiego „Choroby wewnętrzne psów".

„Przegląd Strzelecki" w ostatnich dwóch numerach wydrukował m. in. „Opowiadania myśliwskie" H. Królikowskiego. — „Mój pierwszy lis" prof. R. Wacka.

STRZELNICTWO.

OTWARCIE „STRZELNICY NA LOTNISKU".

Warszawie przybyła jeszcze jedna strzelnica myśliwska do strzelania rzutków, dzięki inicjatywie i staraniom p. mjr. pil. Makowskiego. Strzelnica mieści się na lotnisku w Mokotowie, a możność dojazdu tramwajem do samej prawie strzelnicy stanowi wielką jej zaletę.

Dn. 6 lipca odbyło się otwarcie strzelnicy.

W puli otwarcia (2 serje po 10 rzutków na 15 mtr). zwyciężył p. bar. St. de Rosenwerth, osiągając rezultat 20/20 trafionych. Drugim był tegoroczny mistrz Polski (z Poznańskich zawodów) p. Józef Kiszkurno (rez. 19/20), trzecim p. mjr. Makowski (rez. 18/20), czwartym p. Henryk Messing (rez. 17/20).

W strzelaniu o główną nagrodę dnia — przedmiot ofiarowany przez 1 p. lotn., — pierwsze miejsce zajął i nagrodę zdobył p. Józef Kiszkurno, osiągając w 3 serjach po 10 rzutków na 15 mtr. 28/30 trafionych, o drugie miejsce walczyli czterej zawodnicy, którzy w konkursie osiągnęli rezultat 27/30. Byli to pp. bar. St. de Rosenwerth, Sztukowski, Makowski i Prymak. Po pierwszej serji 5 rzutków odpadli pp Makowski i Prymak. Pomiędzy pozostałymi rozgorzała zacięta walka, która była prawdziwą sensacją dnia, różnica bowiem klasyfikująca strzelców, osiągnięta została dopiero po 7 serjach po 5 rzutków, przyczem zwyciężył p. bar. de Rosenwerth przy wyniku 35/35, bijąc p. Sztukowskiego o jeden rzutek (34/35). Zaznaczyć wreszcie należy, że łącząc konkurs z rozgrywką, miał p. Sztukowski 45 rzędowych rzutków, co do chwili obecnej, stanowi zapewne rekord Polski na ilość rzędowych.

Oprócz strzelców wymienionych w rezultatach konkursów, na standzie byli obecni pp. Hieronim ks. Lubomirski, Nowicki, Lisowski i inni stali bywalcy standów Pocisku, Służewca, Poznania i Torunia.

Wszyscy obecni gorąco dziękowali p. mjr. pil. Makowskiemu oraz D-tu 1 p. lotn. za stworzenie nowej strzelnicy i serdeczną gościnność. Należy spodziewać się, iż nowootworzona placówka przyczyni się w znacznym stopniu do spopularyzowania sportu myśliwskiego strzelania.

H. M.

= **Wyniki zawodów Wielkopolsk. Zw. Myśl.** w czasie „Zielonego Tygodnia" były następujące:

Strzelania kulą:

Do kozła stojącego: I nagr. — p. Gramowski (koszyczek srebrny i złoty medal Wlkp. Zw. Myśl.); II— p. dr. Muszyński (srebrny medal W. Z. M.); III — p. Andrzej Onyszkiewicz (bronzowy medal W. Z. M.).

Do kozła w biegu: I — p. Bląk jun. (puhar kryształowy Centr. Zw. i medal złoty); II — p. Jan Onyszkiewicz (srebrny medal); III — p. Łyskowski (bronzowy medal).

Do dzika w biegu: I — p. M. Mischke (złoty zegarek hr. Drohojowskiego i złoty medal); II p. Eustachy Barański (srebrny medal); III — p. Grzechowiak (bronzowy medal).

Do jelenia w biegu: I — p. M. Mischke (termos f-my Specht i złoty medal); II — p. Jan Onyszkiewicz (srebrny medal); III — p. Jarochowski (bronz. medal).

O nagrodę Kniei Wielkopolskiej: I — p. Gramowski (sztucer z lunetą Warsz. Spółki Myśliwsk. i złoty medal W. Z. M.); II — p. Ostojski (srebrny medal); III — p. Łyskowski (bronzowy medal).

Dodatkowe strzelanie do dzika: I — p. Łyskowski (kaseta do papierosów i złoty medal); II — p. Jarochowski (srebrny medal); III — p. T. Barański (bronzowy medal).

Strzelania śrutem:

Strzelanie próbne (10 rzutek) I — p. Schulemann; II — p. T. Barański; III — p. Minke.

Strzelanie otwarcia (20 rzutek): I p. Bląk jun. (medal złoty W. Z. M.); II — p. Schulemann (medal srebrny); III — p. Kiszkurno (medal bronz.).

O mistrzowstwo Polski i puhar wędrowny prezesa Wlkp. Zw. Myśl. (10 seryi po 10 rzutek) — I p. Kiszkurno (puhar wędrowny prezesa Wlkp. Zw. p. K. Chłapowskiego, kałamarz Wielkp. Zw. Myśliwych, złoty medal, 50 naboi „Pocisk"); II — p. Zieleniewski (papierośnica hr. Drohojowskiego, medal srebrny, 300 naboi „Pocisk"); III — p. T. Barański (popielnica marmurowa, zapalniczka, medal bronzowy, 200 naboi „Pocisk"): IV — p. Schulemann (torba myśliwska).

O nagrodę Resursy (30 rzutek): I — hr. Hochberg (puhar kryształowy i złoty medal); II — p. Kiszkurno (srebrny medal); III — p. T. Barański (bronzowy medal).

O nagrodę Pozn.-Warsz. Banku Ubezpieczeń (30 rzutek): I — p. T. Barański (zegar Omega i złoty medal); II — p. Bląk jun. (srebrny medal i dar f-my Minke); III — p. Kiszkurno (bronzowy medal).

O nagrodę Tow. Łowieckiego (30 rzutek): I — p. Wichliński (kaseta i medal złoty); II — hr. Hochberg (medal srebrny); III — p. Schulemann (medal bronzowy).

O nagrodę Iwna (20 rzutek): I — p. Kiszkurno (zegar i złoty medal); II — hr. Hochberg (srebrny medal i spinka firmy Minke); III — p. Schulemann (bronz. medal).

O nagrodę pocieszenia: I — p. Koźmian (pierścień f-my Stark, złoty medal); II — p. Pętkowski (srebrny medal); III — p. A. Kurnatowski (bronz. medal).

Dublety: I — p. T. Barański (złoty medal), II — hr. Hochberg (srebrny medal).

= **32-gie zawody francuskie.** — Tegoroczne francuskie, narodowe zawody strzeleckie odbędą się w Lyonie na strzelnicy „de la Tete d'Or" od 25 lipca do 4 sierpnia, Zawody o mistrzostwo Francji z karabinu (senjorzy) — 2 sierpnia, z pistoletu (senjorzy) — 3 sierpnia, mistrzostwo dla młodzieży i pierwsze zawody o mistrzostwo Francji pań z broni małokalibrowej od 25 lipca do 2 sierpnia, wreszcie „konkurs honorowy" w niedzielę, 4 sierpnia.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

× **Futra na wystawie w Poznaniu.** — Znany myśliwy, p. Stanisław Ocetkiewicz, prezes Tow. Akc. „Futro" i Koła gałęzi futrzanych przy Stowarzyszeniu Kupców Polskich, w wywiadzie udzielonym „Przemysłowi Skórnemu" w związku z wystawą poznańską podał następujące informacje:

Do gałęzi produkcji wykazujących w ostatnich latach znaczny rozwój, należy przemysł futrzany. Produkcja skór jest dość znaczna. Wynosi ona rocznie: lisów około 30.000, kun — 5.000, tchórzy około 20.000 i wydr około 2.000. Bardzo znaczna jest też produkcja skórek zajęczych i króliczych. Dotyczy to również produkcji królików białych, które, wysłane do farbowania do Lipska i Paryża, powracają do nas jako foki.

Co się tyczy wyprawy i farbowania futer w ostatnich czasach, dzięki specjalnym konjunkturom, powstał u nas i rozwija się znakomicie przemysł w tej dziedzinie.

Najważniejsze ogniska wyprawy futer w Polsce są: Warszawa ze Sp. Akc. „Futro" na czele, i Brzezie w Małopolsce. To też, dzięki powstaniu rodzimego przemysłu, futra importowane, w 90% są sprowadzane w stanie surowym, co pozwala zatrudniać przy wyprawie, robotników polskich i wpływa dodatnio na kształtowanie się naszego bilansu handlowego i płatniczego, zwłaszcza, że z każdym rokiem liczba wykwalifikowanych specjalistów wzrasta.

Kraj nasz nie produkuje w dostatecznej ilości futer łownych, a przeto import w tej dziedzinie staje się koniecznością. Importujemy futra głównie z Londynu i Francji, wartości około 7 milj. zł.

Eksportujemy futra surowe specjalnie do Ameryki i Niemiec za sumę około 5 milj. złotych rocznie.

Wyprawa, która obejmuje wszystkie futra w 100%, nie ustępują zagranicy wogóle, a Lipskowi w szczególności, natomiast farbowanie, zwłaszcza piżmowców, królików, oraz wyder jest jeszcze w dziedzinie prób. Nasze farbowanie wykazuje specjalnie duży postęp w farbowaniu pechaników, mających imitować norki. Pechaniki farbowane w kraju, kalkulują się o 30 do 40% taniej, aniżeli farbowanie zagranicą, podczas gdy farba tego towaru nie ustępuje farbom obcym. Farbowanie coraz bardziej jednak się udoskonala i zapotrzebowanie w kraju stale wzrasta. Na przeszkodzie szerszemu zbytowi stoją jednak ciężkie warunki gospodarcze.

Udział przemysłu futrzanego w P.W.K. jest naogół skromny. Tow. Akc. „Futro" w Warszawie, jakoteż firmy Scholl i inni posiadają na PWK. stoiska, które dają pojęcie społeczeństwu i zagranicy o dużych postępach w tej dziedzinie w ostatnich latach.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.

HUMOR MYŚLIWSKI.

Pani poluje

(A la Janta Połczyński).

Odwiecznym jej sportem jest łowiectwo, gdyż ona zawsze na kogoś i na coś poluje, przyczem w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto z wynikiem dodatnim, częstokroć zaś ci, którzy sadzą, iż są zwierzyną, odgrywają rolę naganki, lub przynęty dla mających wpaść w sidła.

Szczególnie lubią panie polowanie na wabia (Wapińskiego), oraz na grubą zwierzynę, której szukają nawet na drzewach owocowych (Apfelbaum). Stałą i bodaj najpospolitszą ofiarą kobiet są rogacze, przyczem samce o 30 czy więcej końcach nie należą wcale do rzadkości.

Kobieta jednak, w pogoni ze cennemi futrami, zadowala się byle małpą, ewentualnie oswaja najbardziej niekulturalne dziki lub obłaskawia opasłe żubry.

Do najmilszych rodzajów łowiectwa zalicza kobieta polowanie na lisa, — zwłaszcza niebieskiego, w którym to wypadku gotowa go przyjąć nawet z dzióbka niebieskiego ptaka.

„ŻÓŁTA MUCHA"

Ślepe ładunki.

Zimne pocałunki — to strzał ślepymi ładunkami.

Tygrys a teściowa.

Różnica między tygrysem a teściową jest niewielka. Polega zaś głównie na tem, że tygrys posiada piękniejszą skórę.

Aforyzm o kurze.

Nadzieja to jak ta kura: więcej jaj znosi, niż może wysiedzieć.





Spór o pudło.

— W ostatnim miocie spudłowałem pysznego kozła.
— Przepraszam, to ja go chybiłem.



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.